

ILUSTROWANY PRZEGLĄD



„GASTRONOMICZNY”

Człowiek uczy się całe życie za wyjątkiem lat szkolnych

Karateka po angielsku

Kontynuujemy serię wywiadów z nauczycielami z pasją. Samo słowo „pasja” pochodzi z języka łacińskiego, w którym oznacza nie zamiłowanie do czegoś, ale cierpienie. Wszyscy chyba wiedzą, że miłość jest nierozdzielnie związana z cierpieniem, a nasz rozmówca jest tego żywym dowodem, bo dla swojej pasji jest w stanie wiele wycierpieć. Jednak sam Wam o tym opowie. Przedstawiam Wam Pana Profesora Jarosława Gizę.

W naszej szkole uczy Pan z pasją języka angielskiego, ale wszechwiedzący Fajsbuk zdradził nam też inną Pana miłość karate. Czy mógłby Pan nam powiedzieć, na czym polega ta konkretna sztuka walki?

zywiście że mogę powiedzieć. Karate to sztuka walki stworzona na Okinawie, w Japonii. Karate to nie tyle sztuka walki, co sztuka samoobrony, polegająca na tym że używamy pewnych ciosów, aby się bronić. Nigdy nie używamy karate, aby atakować. Jest to bardzo ważne. Karate pochodzi dokładnie z wyspy Riukiu, gdzie ludzie w pewnym momencie historycznym mieli zakaz noszenia broni i wymyślili, że będą się bronić za pomocą rąk i nóg. Głównym pojęciem w strukturze technicznej karate tradycyjnego jest *todome waza*, czyli cios kończący, gdzie pojedyncza technika całkowicie unieszkodliwia przeciwnika. Ta wysoka sprawność

techniczna czyni z karate tradycyjnego wielką sztukę. Karate tradycyjne daje najwyższej jakości korzyści fizyczne, ponieważ trening obejmuje dynamiczne użycie całego ciała. Karate tradycyjne nie tylko dąży do rozwoju całej osoby, ale także ma korzystne działanie na stan umysłu i emocji, zapewniając całkowitą równowagę i stabilne emocje. Ostatecznym celem treningu w

karate tradycyjnym nie jest tylko osiągnięcie perfekcji w sztuce walki, ale raczej całkowity rozwój ludzkiego charakteru tam, gdzie walka nie jest już potrzebna. Karate jest bardzo rozwojowe, pomaga utrzymać dobrą sylwetkę, dobre zdrowie i można się trochę poruszać. Jest to moja pasja od dwóch lat.

Skąd u tak spokojnego anglisty zainteresowanie karate? Jak się to u Pana zaczęło? Czy ma Pan jakieś osiągnięcia, sukcesy w karate tradycyjnym?

Moje zainteresowanie karate odkryłem już bardzo wcześnie. Było to w czwartej klasie szkoły podstawowej, miałem wtedy 10 lat. Przez dwa lata uczęszczałem na treningi prowadzone przez shihana (stopień mistrzowski począwszy od 5 Dan) Andrzeja Krawontkę w Nowosądeckim Klubie Karate Kyokushin. Jednakże z powodu zaangażowania w sprawy szkolne zrezygnowałem z treningów. Przez wiele lat ta chęć przetrwała i narodziła się ponownie dwa lata temu, kiedy to rozpocząłem treningi, wraz z moim synem Kamilem, pod



okiem senseia (z japońskiego – nauczyciel / mistrz) Damiana Pawlika (obecnie posiadam stopień uczniowski 5 kyu tzn. niebieski pas – jestem w połowie drogi do zdobycia czarnego pasa – stopnia mistrzowskiego 1 Dan). Jestem zaangażowanym członkiem Klubu Karate Tradycyjnego Nowy Sącz. Z uwagi na wiek nie mam żadnych osiągnięć sportowych (w zawodach nie ma kategorii dla seniorów) w karate tradycyjnym. Jednakże moim ogromnym osiągnięciem jest to, że trzy razy w tygodniu, zamiast siedzieć w domu i marnować cenny czas, spotykam się z moimi kolegami karatekami i bardzo ciężko ćwiczymy.

Rzadko spotyka się nauczycieli szkół ponadpodstawowych, którzy wpisują sobie "dr" przed nazwiskiem. Pan do tej wąskiej grupy należy. Czy jest to doktorat z anglistyki?

Nie, nie jest to doktorat z anglistyki. Stopień naukowy doktora przyznawany jest z określonej dziedziny nauki. W moim przypadku jest to doktor nauk humanistycznych. Moją specjalnością (dyscypliną naukową) jest literaturoznawstwo (tzn. nauka o literaturze) a jeszcze dokładniej jest to literaturoznawstwo angielskie (jestem specjalistą z zakresu dzieł literackich napisanych przez autorów angielskich). Stopień naukowy doktora był od zawsze, tak jak karate, moim marzeniem. Z tej racji, jako osoba uparta, dążąca do określonego celu, podjąłem się tego zadania i rozpocząłem w 2007 studia doktoranckie pod okiem mojego mistrza prof. dr hab. Wiesława Krajki w Uniwersytecie Marii-Curie Skłodowskiej w Lublinie. Po czerech latach studiów ukończyłem je publiczną obroną doktoratu na podstawie rozprawy doktorskiej pt. „the Archetype of Evil Genius. A Comparative Study: John Milton, Joseph Conrad, Fyodor Dostoevsky”. Jestem autorem kilkunastu artykułów naukowych z zakresu literaturoznawstwa angielskiego, uczestniczyłem w kilkunastu międzynarodowych konferencjach naukowych, zajmuję się tłumaczeniami artykułów naukowych dla różnych naukowców zarówno z Polski jak i zagranicą. Dla osób chętnych podaję link (czyli odsyłacz- przyp. red.) do strony, gdzie znajdują się niektóre moje artykuły (pwsz-ns.academia.edu/JaroslawGiza)

Czy posiadanie tytułu doktora przyczynia się do osiągnięcia lepszych efektów nauczania?

Generalnie mówiąc raczej nie – wszyscy Angliści pracujący u nas w szkole, ukończywszy studia magisterskie przygotowujące kandydatów do nauczania języka obcego, są w bardzo dobrym stopniu przygotowani aby prowadzić zajęcia z języka angielskiego. Uważam, że wszyscy jesteśmy równi, mimo tego, że podczas zajęć kładziemy nacisk na inne aspekty języka – niektórzy wolą gramatykę, niektórzy słuchanie, a niektórzy tworzenie wypowiedzi pisemnych. Ja np. podczas zajęć lubię wykorzystywać wiedzę z zakresu literaturoznawstwa. Z tego powodu chętniej prowadzę zajęcia z czytania niż np. z gramatyki. Zrobiłem doktorat- jak mówiłem wcześniej- tylko dla siebie, dla swojej pasji.

Jak Pan sądzi czy po wyjściu z Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej rola języka angielskiego się zmniejszy?

Myślę, że nie – angielski jako język międzynarodowy bardzo mocno zakorzeniony w takich dziedzinach życia jak handel, polityka, nauka będzie nadal bardzo popularny. Z drugiej strony zauważam, że inne języki zaczynają też współdominować z angielskim np. chiński, hiszpański. Myślę jednak, że pozycji języka angielskiego nic nie jest w stanie zagrozić.

Jakie są najnowsze trendy w nauczaniu języka obcego i czy nasza szkoła jest odpowiednio wyposażona?

Najnowsze trendy kładą nacisk na aktywne, rozumne wykorzystywanie języka, zwłaszcza podczas komunikacji. Z tego powodu część zajęć próbuję poświęcić na ćwiczenie tej trudnej sprawności językowej. Osobiście uważam, że szkoła jest dość dobrze wyposażona w sprzęt wzmacniający rozwój językowy – tablice multimedialne. Jednakże uważam, że za bardzo promuje się sferę czysto techniczną kosztem starszego modelu opartego na książce, zeszytach, czarnej tablicy oraz na relacji nauczyciel-uczeń (mistrz – uczeń).

W reklamach można spotkać się z firmami, które proponują np. specjalne okulary, relaksacyjną muzykę, co pomaga opanować język obcy w dwa tygodnie. Co pan profesor sądzi o takich wynalazkach?

Jestem nastawiony sceptycznie do takich wynalazków. Tak jak wspomniałem wyżej, dzięki tym „wynalazkom” (dla mnie osobiście pseudo wynalazkom), żerującym na ludziach coraz częściej uzależnionych od technologii oraz ich naiwności, nie ma możliwości nauczenia się języka w tak krótkim czasie. Według mojej wiedzy mózg człowieka nie jest w stanie gruntownie zapamiętać oraz później aktywnie wykorzystywać wiedzy zdobytej w ten sposób. Jedynym sprawdzonym i rzetelnym sposobem (sprawdzonym przeze mnie na przestrzeni 29 lat – ucze się języka angielskiego od 10 roku życia) jest regularne, najlepiej codzienne, i jeszcze raz akcentuję, długotrwałe powtarzanie i przetwarzanie zdobytej wiedzy.

Współczesna młodzież szuka wzorców, które udowadniają im, że wart żyć w pełni, na pełnej petardzie, robiąc to co się kocha. Czy ma Pan jeszcze jakieś pasję, o których chciałby nam Pan wspomnieć, dla zmotywowania uczniów naszej szkoły ?

Obok literatury (ostatnio namiętnie rozczytuję się w kryminałach autorstwa Norwega Jo Nesbo, Szweda Stiega Larssona oraz amerykańskiego pisarza Cody’ego McFadyen’a) oraz karate tradycyjnego, następną pasją mojego życia jest muzyka – zwłaszcza muzyka heavy metalowa – wychowałem się na tej muzyce. Począwszy od szkoły podstawowej jestem zagorzałym fanem Iron Maiden oraz polskiego genialnego zespołu death metalowego Vader, uwielbiam Metallicę (zwłaszcza pierwsze albumy oraz ostatni). W szkole średniej miałem długie włosy i grałem w zespole na gitarze elektrycznej. Bardzo często bywam na koncertach, zwłaszcza Iron Maiden. Oprócz Ironów uwielbiam zespoły symfoniczno- gotyckie, takie jak Nightwish, Within Temptation czy Delain.

Na zakończenie chciałbym bardzo mocno zaapelować do młodych ludzi, aby obudzili się z letargu jaki serwuje im wirtualny (tzn. nie rzeczywisty) świat, w którym tkwią po uszy i aby zaczęli żyć swoim życiem realnym, które jest z o wiele bardziej fascynujące. Apeluje do nich, aby zaczęli traktować swoje życie bardzo poważnie jako przygodę, którą ofiaruje im Pan Bóg tylko jeden raz. Nie marnujcie swojego życia na bzdury, mrzonki oraz chore filozofie, które tak chętnie serwuje Wam świat. Zamieńcie setki „przyjaciół” na portalach społecznościowych na kilku prawdziwych w świecie rzeczywistym. Podążajcie za swoimi pasjami – jestem żywym dowodem na to, że warto. Odważcie się być sobą, mimo tego iż ludzie powiedzą wam, że zwariowaliście.

Przepytała Sara Kalisz 1d

Profanacja

Poniższy artykuł miał się ukazać już w tamtym roku. Został nadesłany do redakcji po wigiliach klasowych. Niestety, numer grudniowy już był wydrukowany, a kolejne wydanie IPG, w którym to mógł się ów artykuł znaleźć, przewidziane było na marzec. I tak przemyślenia naszej byłej redaktorki leżały sobie na dnie szuflady Cenzorskiego biurka i czekały na swoją kolej. Aż wreszcie się doczekały, bo okazało się, że nie tylko członkinię naszego Bractwa mocno zirytowały wydarzenia sprzed roku, ale także władze szkoły zareagowały z pełną stanowczością (o czym piszemy w dalszej części). Postanowiliśmy zatem nie zmieniać formy artykułu, by nie zniszczyć wręcz prorockiego jego znaczenia. Oto on:

„Tytuł, być może, trochę prowokacyjny, ale w zamyśle taki właśnie miał być. Temat artykułu- wiem o tym doskonale- grubo przeterminowany, bo kto to widział, żeby o Wigilii Bożego Narodzenia pisać w marcu, w dodatku w czasie Wielkiego Postu? Dostałam jednak zielone światło od Wielkiego Cenzora, więc mam okazję przelać swoją irytację na papier. W grudniowym wydaniu *Ilustrowanego Przeglądu Gastronomicznego* ukazał się artykuł o wigiliach klasowych, skądinąd bardzo wtedy aktualny. W duchu przyznałam autorce rację, pochwaliłam za trafiony wybór tematu, popsioczyłam trochę na współczesne czasy odrywające młodzież od tradycji i na tym zatrzymała się moja ochota zmieniania świata. I byłoby się na tym jednym tekście wszystko zakończyło, gdyby nie pewien incydent, który miał miejsce w sam dzień owych wigilii. Incydent do tego stopnia rażący, że zasłużył na opisanie go w naszej gazecie.

Święta Bożego Narodzenia to święta pełne tradycji, tych religijnych, tych ludowych oraz tych całkowicie świeckich. Tradycja Wigilii Bożonarodzeniowej, jako postnej kolacji składającej się z dwunastu dań z najprostszych produktów-owoców pracy rolników, ma wielowiekową historię. Wiadomo, że na wigiliach klasowych trudno o zachowanie zwyczaju tyłu potraw. Nie chodzi przecież o ilość, ale mam wrażenie, że już całkiem zaczynamy olewać nawet istotę wigilii.

Gdy moje starsze rodzeństwo chodziło do liceum, wigilie klasowe wyglądały zupełnie inaczej. Oddziały klasowe już na tydzień przed Świętami dekorowały swoje sale, by w każdej można było poczuć, że zbliża się Boże Narodzenie. Nie postuluję w tym miejscu, by świąteczne aranżacje pomieszczeń zaczynać już w listopadzie po Uroczystości Wszystkich Świętych, choć takie terminy są lansowane w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku. Dla mnie to czyste szaleństwo. Myślę, że tydzień przed to optymalny czas. Nie wspominając, jak bardzo dbanie o swoją salę i wystrój w niej buduje więzi w klasach. W naszej szkole sale nie są przypisane do konkretnych oddziałów klasowych, stąd szaro w nich i ponuro, nawet przed Świętami Bożego Narodzenia. Wielka szkoda.

Ale wróćmy do tematu wigilii. Z opowieści mojej starszej siostry wyłania się obraz zaangażowanych w wigilię klasową wszystkich uczniów danego oddziału. Każdy miał inną misję do spełnienia: jedni przynosili ozdoby na choinkę, inni rzeczoną choinkę, a jeszcze inni byli odpowiedzialni za część kolędową. Najwięcej jednak czasu i energii poświęcano jedzeniu wigilijnemu, czyli wybranej- zazwyczaj jednej- potrawie. Niekwestionowanym królem wigilijnych dań był barszcz z uszkami, ewentualnie beźmieśne paszteciki z barszczem. I rozumiem, że w niektórych sferach trzeba iść z duchem czasu, ale zastępowanie dań wigilijnych zamówioną pizzą, a barszczu sokami, kolorowymi napojami i coca- colą, to już dla mnie

przejęcie. A taki właśnie obrazek zobaczyłam w dniu wigilii klasowych.

W tym roku szkolnym (2017/2018- przyp. red.) w dniu wigilii klasowych mieliśmy lekcje, a przez to mało czasu na spokojne przygotowanie sali, jedzenia i oprawy świątecznej. Idąc do szkoły byłam świadkiem jak uczennice naszej szkoły, niosąc w rękach pojemniki z ciastem zakupionym w pobliskiej cukierni, rozmawiały o tym, jak to nikomu w klasie nie chciało się nic na wigilię przygotować i teraz one muszą ratować wigilię, kupując chociaż ciasto. Przykre to bardzo, że nam młodym nie chce się podtrzymywać tradycji, a nawet posiedzieć ze sobą dwie godziny w świątecznej atmosferze. Myślałam, że nic mnie już nie zaskoczy. Jak bardzo się pomyliłam... Gdy byłam już w szkole, przy głównych drzwiach wejściowych zobaczyłam dostawcę pizzy, który właśnie rozliczał się z jednym z naszych uczniów (dodajmy, iż był to pierwszak), po czym ów uczeń wziął sześć pudełek z pizzą XXL i zniknął za drzwiami sali, w której odbywała się wigilia jego klasy. Tego było już dla mnie za wiele! Pizza na wigilii?! Totalna profanacja wielowiekowej tradycji, lenistwo absolutne! Nie wspomnę już o profanacji Gastronoma... Gastronoma!!! Szkoły, w której uczymy się gotować, piec, ale przede wszystkim uczymy się szacunku do jedzenia i tradycji. Nawet jak piszę o tym w marcu, to nadal we mnie wrze na samą myśl.

Gdy już ochłonęłam, zaczęłam zastanawiać się z czego może wynikać taka olewająca postawa? Z opowiadań mojej siostry wynika, że jeszcze kilkanaście lat temu nie było tak szerokiego dostępu do wyrobów wigilijnych, a pomimo to wszyscy starali się, by potrawy wigilijne na stole klasowym były. Piekli, pichcili, gotowali. Teraz, gdy wszystko możemy kupić w sklepach, ciastkarniach, a barszcz wystarczy zalać wrzątkiem, nawet nie chce się nam podjąć tak niewielkiego wysiłku, by pójść i zamówić daną ilość uszek, pierogów czy pasztecików i odebrać je w danym dniu! Lenistwo sięgające Księżyca, albo jeszcze dalej! Czy wychowawcy nie mogliby jakoś zmobilizować nas- swoich wychowanków- do podtrzymywania tradycji, a nie pozwalać na zamawianie pizzy? A może, gdyby Pani Dyrektor pozwoliła, by dzień wigilii klasowych był dniem wolnym od zajęć dydaktycznych (ale z nadal sprawdzaną obecnością), a został w całości przeznaczony wyłącznie na wigilie klasowe? Może wtedy uczniowie mieliby więcej czasu na przygotowanie wigilii, chociażby po to, by móc pójść po zamówione potrawy. Teraz jest to niemożliwe, bo przed wigiliami mamy lekcje i nie możemy opuszczać budynku szkoły. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że dzień wolny stałby się przyczynkiem do jeszcze większego kombinowania, by nie przyjść, oraz do jeszcze większego lenistwa.

Z opowiadań mojego rodzeństwa i z mojego doświadczenia z pierwszej klasy szkoły ponadgimnazjalnej wynikało, że była kultywowana jeszcze jedna tradycja związana z wigiliami klasowymi. Mianowicie, każda klasa zapraszała na swoją wigilię wybranego nauczyciela. Dawało to możliwość poznania danego profesora od innej, mniej oficjalnej, strony. Zwyczaj ten także zaczął zanikać, a szkoda, bo nauczyciele to też ludzie. Gdy byłam w pierwszej klasie, jeszcze zapraszaliśmy nauczyciela, z którym chcieliśmy spędzić wigilię. Będąc już w drugiej klasie, mało która klasa kogoś z profesorstwa zaprosiła. W trzeciej klasie rozwiązano tę kwestię w ten sposób, że nauczyciel, który według planu miał mieć z nami lekcje w trakcie trwania wigilii klasowych, był zobowiązany uczestniczyć z nami w naszej wigilii. I tak od czegoś, co było wyrazem sympatii i chęci poznania lepiej danego profesora, zrobił się obowiązek zarówno dla nas, jak i dla nauczycieli. A tam, gdzie jest przymus, często bywa niemilo.

Ten artykuł nie ma na celu osądzać kogokolwiek czy oskarżać. Chciałabym, żeby stał się impulsem do rozmów, wspólnego zastanowienia się, co z tym fantem zrobić, jak to rozwiązać, by szkoła rzeczywiście uczyła nas poszanowania tradycji i nie dawała cichego pozwolenia na jej olewanie. Są to sprawy zbyt ważne, by przejść wobec nich obojętnie.

Mala Mi”

W tym roku szkolnym (2018/2019), w grudniu padła sensacyjna wiadomość, że wigilii klasowych nie będzie! Właśnie ze względu na incydent opisany w artykule naszej absolwentki i redaktorki. Ostatecznie jednak, pani dyrektor Świętoń zgodziła się, aby w ostatnim dniu przed przerwą świąteczną odbyły się spotkania opłatkowe, zawężone jedynie do połamania się opłatkiem i śpiewania kolęd, w towarzystwie wychowawcy i wyznaczonego do danej klasy nauczyciela- gościa. Czy to będzie dobre rozwiązanie? Okaże się już niedługo. Nam trochę przykro i szkoda, że przez głupotę jednostek, cała szkoła jest pozbawiana możliwości zorganizowania i przeżycia klasowych wigilii z prawdziwego zdarzenia. Dziękujemy także jednej z terażniejszych klas drugich, że przez Was cała reszta szkoły wigilii mieć nie będzie. Szkoda... Wielka szkoda...

Redakcja

Spragnionych napoić



Wychodząc pośpiesznie z sali nr 2, aby zdążyć dolecieć do stołówki szkolnej przed chmurą ludzi, przed kilometrowymi kolejkami po jedzenie, natrafiłam na pewną przeszkodę, czyli tłum zainteresowanych czymś metalowym obok ściany uczniów. Nie miałam czasu przyjrzeć się bliżej. Lecz moja ciekawość nie zna granic i nurtowało mnie to, więc postanowiłam zaspokoić moją ciekawość. Zainteresowałam mnie to, bo ilekroć tamtędy przechodziłam to napotykałam się na dużą liczbę gapiów oglądających to urządzenie.

Ku mojemu zdziwieniu okazało się że to wodopój, tzw. poidelko. Teraz już było dla mnie jasne, dlaczego sala nr 1 była wyłączona na jakiś czas z użytku i dlaczego wydobywały się z niej niemiłosiernie głośne dźwięki, przypominające borowanie. Dotąd widziałam je tylko w filmach amerykańskich i nie sądziłam że coś takiego może pojawić się w naszej szkole. W sumie uważam że to bardzo fajnie. Widać, że nasza szkoła chce się rozwijać. Amerykańskie szafki, amerykańskie poidelko- jest lans. Ostatnio siedziałam sobie i rozmyślałam na temat owego wodopoj. Przeprowadziłam pewne doświadczenie: obserwowałam na przerwach zachowanie uczniów i sprawdzałam czy naprawdę z tego piją. I w sumie moim zdaniem niewiele osób z tego korzysta jak na razie. Pewnie dlatego, że ten przedmiot nie zyskał jeszcze zaufania uczniów. Ale pewnie po jakimś czasie się to zmieni. Sama po sobie wiem, że ani razu jeszcze z tego nie piłam i chyba nie mam takiej potrzeby. Ostatnio popytałam parę osób i pierwsza osoba powiedziała, że też jeszcze nie piła i nie ma na razie zamiaru tego robić. Tak samo powiedziały jeszcze 2 osoby, ale spotkałam się także z pozytywnymi opiniami osób, które mówią że przydaje im się coś takiego, bo zawsze zapominają picia i ciągle chodzą spragnieni. Kolejna osoba powiedziała, że to bardzo dobra alternatywa np. po wuefie gdy zapomnieliś lub skończyło ci się picie. Podejrzewam, że na wiosnę, gdy zrobi się ciepło, poidelko będzie przeżywało istny najazd.

Z powodu artykułu postanowiłam w końcu spróbować napić się tej wody dla dobra prasy szkolnej i jej wiarygodności. Podeszłam po lekcjach, nachyliłam się i wzięłam łyka. Musze powiedzieć, że bardzo się zdziwiłam. Cały ten kranik skonstruowany jest tak, aby nie dotykać ustami żadnego elementu, dzięki czemu jest to bardziej higieniczne niż myślałam. Piszę ten artykuł, co oznacza, że woda nie jest w żaden sposób zakażona ani trująca. A w smaku jest całkiem niezła, nic mi się nie stało, czyli woda jest zdatna do picia, a to chyba najważniejsze. Dodam, że oprócz zdatnej wody do picia, to poidelko bardzo łatwo się obsługuje. Nie trzeba przecież wielkiej filozofii, aby kliknąć przycisk i wtedy leje się woda.

Bardzo gorąco Was zachęcam do korzystania z wodopojku. Pamiętajcie, że człowiek aktywny fizycznie potrzebuje do prawidłowego funkcjonowania organizmu około 2,5 litra wody dziennie! Dbajmy o nasze zdrowie w sezonie letnim i w sezonie zimowym, skoro mamy do tego dobre warunki.

Dorota Wolak

Tajemnicze drzwi

Od jakiegoś czasu, a właściwie od początku roku, mężczyźni z naszej klasy głośno wspominali o zamkniętych drzwiach. Na początku nie miałam pojęcia o czym mówią. Gdy wyjaśnili mi na czym polega problem, zabrałam się do pracy. Pobawiłam się w detektywa i troszkę popytałam. Nie musiałam jednak długo szukać osób, które powiedzą mi coś na ten temat. Wystarczyło, że zapytałam moich chłopaków z innych klas. A więc te tajemnicze drzwi znajdują się w szatni chłopców, prawdopodobnie prowadzą do łazienek i pryszniców, ale nie jestem pewna, bo w końcu są zamknięte. Nie wierząc własnym uszom,

sama poszłam to sprawdzić (oczywiście najpierw sprawdziłam czy nikogo nie ma w środku, bo trochę kiepsko byłoby, gdyby mnie ktoś nakrył, jak bez pardonu wchodzić do męskiej szatni). No więc chwyciłam za klamkę... I potwierdziło się, drzwi od toalet były zamknięte.

W sumie to nie rozumiem dlaczego? Przecież łazienka nie powinna być zamknięta chyba, że po prostu z łazienkami to jest ściema i tak naprawdę prowadzi się za tymi drzwiami nielegalny interes, tak jak czasami bywa w filmach. No albo tam straszy. Jestem kino-maniakiem, więc wybaczenie mi drastyczne wnioski, ale śmiesznie by było. I teraz rodzi się pytanie, dlaczego w ogóle te drzwi są zamknięte? Wydaje mi się, że nauczyciele nie za bardzo ufają uczniom naszej szkoły. W sumie słyszałam, że w niektórych szkołach chłopcy wyrwali zlew albo toaletę, ale nie wiem czy to zdarzyło się kiedyś w tej szkole. Pewnie nie, nie podejrzewam uczniów aż o taki wandalizm, choć może jednak coś tam popsuli? Ostatnio na wuefie mój kolega polecał do ubikacji, po chwili zmartwiliśmy się, że może coś go tam wciągnęło, bo długo nie wracał, ale gdy wrócił to wytłumaczył nam, że musiał iść na II piętro do toalety, bo w szatni jest zamknięte. I to pokazuje jak uciążliwa i poważna jest to sprawa.

Ostatnio także byłam świadkiem narzekania z powodu zamkniętych łazienek. Sytuacja wyglądała tak, że graliśmy w piłkę chińską (polega to na tym aby odbijać piłkę cały czas poruszając się w podporze tyłem). Mój kolega próbował strzelić do bramki i trafił, lecz potem usiadł sobie, aby odpocząć trochę i czekać na kolejną piłkę, ale pech chciał, że usiadł sobie przy wejściu, gdzie było brudno (bo niektórzy czasami tamędy wchodzi) i niechcący ubrudził sobie spodnie. Chcąc nie chcąc, poszedł do toalety, ale była zamknięta, więc musiał iść na 2 piętro. Trochę się wstydził, ale poszedł, bo nie miał innego wyboru. Gdyby w szatni były łazienki oszczędził by sobie trochę wstydu i czasu, no ale niestety są zamknięte i to nawet nie wiadomo z jakiego powodu. Przynajmniej my go nie znamy. Gdy moi koledzy usłyszeli że będę pisać artykuł na ten temat, byli mi bardzo wdzięczni i bardzo liczą, że coś się zmieni (pewnie nie tylko oni, mężczyźni z innych klas pewnie też). Od razu mówię „nie ma za co”, chociaż ty wy powinniście podjąć inicjatywę i sami o tym napisać.

W sumie to ja nie wyobrażam sobie, że dziewczęca szatnia i toaleta były zamknięte. Łazienki są bardzo potrzebne do normalnego funkcjonowania. Trochę to smutne. Gdyby tak pomyśleć to chłopaki mają tylko jedną łazienkę, a dziewczyny trzy. No wiadomo, jest nas więcej i bardziej ich potrzebujemy, ale chłopakom też coś się należy. Tak sobie myślę, że to trochę nieładnie tak dyskryminować chłopaków. Zasięgnęłam opinii paru chłopców i tylko jeden powiedział, że mu to nie przeszkadza. Wszyscy inni bardzo na to narzekali i czuli się mniej ważni. I to smutne, że z powodu prawdopodobnych zniszczeń dokonanych przez starszaków, panowie z pierwszych klas nie mogą korzystać z toalet w szatni sali gimnastycznej. Piszę to, aby się coś zmieniło, a nasza szkoła była dobrym miejscem, gdzie będziemy czuć się bezpiecznie i dobrze.

Angelika Przymusek

Kawiarenka Charytatywna

Pyszne słodkości, to tylko klasy cukiernicze. 14 listopada mogliśmy skosztować takich słodkości od klasy Ii (i pomocników z klas starszych, też cukierników). Tak duże i słodkie

przedsięwzięcie ma chyba swoich zwolenników, bo kto tu nie lubi słodczy? A zwłaszcza te, które cieszą nie tylko oko, ale i podniebienie?



Ale patrząc też z drugiej strony: pełno pracy, a mało czasu- tak właśnie wyglądał dzień przed tą akcją. Szczerze mówiąc, bałam się, że Pani wychowawczyni, powie w pewnym momencie „Stop! Rezygnujemy!” O mało co, a talerze by latały, jak w „Kuchennych rewolucjach” (w naszym przypadku byłyby to blachy, ubijaczki i wszystko inne, co byłoby pod ręką). Nie-wiele brakowało.



No ale cóż, można powiedzieć, że jednak nam się udało. Przeżyliśmy, nic nie fruwało w powietrzu. W dzień kawiarenki, było chyba jeszcze większe szaleństwo, niż dzień wcześniej. Wszyscy gdzieś biegali, ostatnie przygotowania, zdobienia. Wszystko musi być perfect! Od 10:00 ruszyliśmy ze sprzedażą, pierwsi zadowoleni klienci, przynajmniej na takich wyglądali. Zdaje się, że nasze słodczyce były jadalne, gdyż wszyscy do tej pory żyją.



Podsumowując, to jednak było warto poświęcić się pomimo wszystko. Miło było patrzeć, jak uczniowie co chwila spoglądali z uśmiechem na nasze stanowisko, a tym bardziej, że zebrana kwota została przekazana na cel charytatywny. To już całkowicie rekompensuje nam cały trud. „Dobroć dawana innym zawsze do nas wraca.”

Wiktoria Fyda Ii



Ja jestem King Bruce Lee Karate Mistrz

Góry nasze, wierchy nasze...

W obecnych czasach tempo życia jest coraz większe. Żyjemy w ciągłym pośpiechu, myśląc jedynie o zdobywaniu wiedzy i wyższego wykształcenia, a co za tym idzie, pewnej pozycji w przyszłości, pracy, dzięki której będziemy mogli żyć wygodnie i w dostatku. Są to główne wyznaczniki wartości XXI wieku. Próbując utrzymać wszystkie sprawy w ryzach, często zapominamy o tym, co jest naprawdę ważne, o nas samych i o naszych podstawowych potrzebach: o odpoczynku i kontakcie z rodziną, najbliższymi. Idealnym rozwiązaniem na połączenie tych bardzo ważnych aspektów życiowych są góry! Ale niby w jaki sposób? Przecież wędrówki górskie są bardzo męczące, wymagają od nas dużo wysiłku, więc w jaki sposób niby odpoczywamy? A w taki, że przecież wędrówka nie polega jedynie na przebieraniu nogami. W szczególności jeśli idziemy z przyjaciółmi, to ten czas wypełnia nam przyjemna rozmowa, śmiech, wygłupy. Zapominamy o sprawach, które nas trapią, a może nawet właśnie wtedy mamy czas, by spokojnie je przemyśleć, wśród górskiej flory i fauny. Dla osób, które nie potrafią sobie zorganizować wypadu tego typu idealnym rozwiązaniem jest Polskie Towarzystwo Turystyczno Krajoznawcze (w skrócie PTTK), a w ramach szkoły Szkolne Koło PTTK. Nie musimy takowego daleko szukać, ponieważ mamy je pod nosem, w naszej szkole jest prowadzone od dawna.



Zorganizowana ostatnio została wyprawa wieńcząca sezon turystyczny. Odbyła się ona 14 listopada. Wyznaczona trasa to Szczawnica- Przehyba- Przysietnica- Rytro. Wędrówkę rozpoczęliśmy od zwyczajowego spotkania na Dworcu PKS, a stamtąd ruszyliśmy przez Krościenko do Szczawnicy, gdzie mieliśmy możliwość zobaczyć dom rodzinny Pani Profesor Tobiasz. Po krótkim, lecz szczegółowym wprowadzeniu w okolicę weszliśmy na szlak. Już na samym początku znalazła się kwestia sporna. Przez około 15 minut prowadzona była zacięta dyskusja między przewodnikiem turystycznym, a rdzennym mieszkańcem tych okolic na temat widzanego przez nas szczytu. Jedna strona uważała go za Trzy korony, Druga za Sokolicę. Zwycięstwo przypadło oczywiście kobiecie (to one zawsze mają rację, a jak nie mają racji, to patrz na zdanie wcześniej). Po trzech godzinach drogi dotarliśmy do głównego punktu- Przehyba zdobyta!!! W czasie wędrówki pokazały się pierwsze oznaki nadchodzącej zimy, deszcz ze śniegiem (no cóż, byliśmy na to przygotowani).

Nie wiedzieliśmy jedynie, że po drodze zdobędziemy również szczyt zwany Łysiny. By na niego wejść musieliśmy pokonać niemalże pionową ścianę. Przypominało to wspinaczkę! Łatwo nie było, lecz udowodniliśmy sami sobie jak wielcy jesteśmy i ile siły w sobie mamy, a to uczucie szczęścia i dumy, które towarzyszyło nam na górze było tego warte. Na Przehybie w schronisku nowi członkowie dostali swoje dokumenty świadczące o przynależności do szkolnych górolazów. Inni również wyposażyli się w książeczki, które pozwalają zdobywać różnorakie odznaki oraz są wspaniałą pamiątką i dowodem wielu wypraw. Ale najważniejsze były- tak oczywiście- pierogi!!! Bez nich nie można się obejść. Po odpoczynku ruszyliśmy dalej. Mieliśmy już zejść do Rytra, lecz jeszcze jeden ważny element został, a mianowicie uroczyste wręczenie odznaki Korony Beskidu Sądeckiego (choć uhonorowana niczego się nie spodziewała). Takie wydarzenie nie może się odbyć w byle jakim miejscu, więc rozpoczęło się szukanie szczytu Zgrzypy. Dosłownie szukanie, ponieważ znów pojawiła się kwestia sporna. Profesor uparł się, by zbiec z szlaku i przejść granią. Intuicja Pani Tobiasz na to nie pozwalała, więc nastąpił niezamierzony podział na dwie grupy. Z początku liczniejsza nich szła szlakiem, lecz gdy okazało się że trzy osoby z Profesorem zniknęły z horyzontu, trzeba było podjąć trudną decyzję i również zbiec z drogi. Po półgodzinnej drodze przez chaszcze, w akcie desperacji zaczęliśmy głośno wołać zaginionego Profesora, jednak było to bezskuteczne, więc musieliśmy zejść z powrotem na szlak. A tam co się okazało? Pan Żebrak znów musiał się przyznać do pomyłki i przegranej z kobietą, gdyż Profesorka znów miała rację. Prawie wszyscy wyszli z tej pomyłki bez większego uszczerbku. Ucierpiał jedynie spodnie koleżanki, które zostały potargane przez gałęzie. Po całej akcji rozbrzmiały salwy śmiechu, gdyż stwierdzono, że była to tylko karta przetargowa sprytnie rozegrana, by uzyskać darmowe odznaki. Cóż za lisia przebiegłość, ha! Niestety, podróż trzeba było już kończyć i z uśmiechem na ustach dostać się na przystanek autobusowy znajdujący się w Przysietnicy, by spokojnie i bezpiecznie dotrzeć do domów.

Podsumowując była to piękna i pełna przygód wyprawa, do której będziemy z radością w sercu wracać we wspomnieniach. Kolejna odbędzie się w lutym, sceneria powinna być już całkowicie zimowa (brrr, aż zimno na samą myśl), jednakże doczekać się już nie można na tę kolejną dozę wspaniałych przeżyć. Do zobaczenia na zimowym szlaku!

Beata Bukryj 4j

Odczarować operę

Młodzież i opera? Połączenie jak woda i ogień. Ale jednak. Pełny garniak, mała czarna i można ruszać. Czekać na autobus, który miał nas zawieźć prosto do Bytomia, do Opery Śląskiej, prawie zamarzałam. Po prostu pogoda „idealna”, w sam raz na lekką kreację. Autobus jak zwykle się spóźnił, ale to już chyba chleb powszedni. One zawsze się spóźniają. Krysia, którą przekonałam na wyjazd, też o mało nie zamarzała. Staliśmy tam wszyscy na parkingu jak jakieś bałwany, eleganckie bałwany rzecz jasna.

Droga do opery była chyba dużo gorsza od czekania na autobus. Pomijając pewne wątki, najgorsze było to, że po całych prawie

sześciu godzinach jazdy wyglądałam jakby mnie przejechał tramwaj. Oklapnięte włosy, zepsuty makijaż, dobrze, że wzięłam sukienkę do pokrowca i dopiero później się przebrałam, bo bym chyba nie weszła do tej opery. Jednym słowem TRAGEDIA! I jak tu wyglądać elegancko?!

Pierwsze wrażenie po wejściu do tej opery: „O matko! Jak tu cudnie!”. Nie mówiąc już o sali, w której byliśmy, po prostu jak z bajki. Cudowna!. Jednak warto było, pomimo wszystko. W czasie czekania na rozpoczęcie spektaklu „Nabucco” G. Verdiego (sama nazwa już dostojnie brzmi, a człowiek od niej samej już się ukulturalnia) miałam chwilę, aby więcej się porozglądać. Oczywiście były jeszcze inne motywy: zablysnąć w pięknej kreacji, przechadzając się korytarzami opery w stylu barokowym. Niesamowite uczucie.

Trzy dzwonki jak w szkole i zaraz się zaczyna. Szczerze mówiąc, bałam się jak to będzie, bałam się, że tam zasnę z nudów, że to będzie jednym słowem dno i ńedza. Ale jednak się myliłam. Piękna muzyka na żywo i śpiew, no coś pięknego! Nie da się tego opisać słowami. To po prostu trzeba przeżyć. Oczywiście, nie wszystkim podchodzi opera, muzyka klasyczna, no bo to jednak ciężki orzech do zgryzienia, ale jeśli miałabym szansę jeszcze raz pojechać do opery, choćby nawet na ten sam występ, to na pewno bym pojechała, bo to są wrażenia, jakich się nie poczuje przez internet czy telefon, słuchając poważnej muzyki czy jakiegokolwiek arii, opery. Trzeba po prostu tam być i chłonąć to atmosferę.

Od tego wyjazdu będę powtarzać za inicjatorami Piątkowego Towarzystwa Operowego: „Każdy musi choć raz w życiu być w operze. Najlepszym na to czasem jest szkoła. Później czasu nie będzie, za to milion wymówek. Jeśli twierdzisz, że opera to nuda, a nigdy nie byłeś w takim miejscu, to żeby wiedzieć, co się krytykuje, to trzeba choć raz pojechać.”

Wiktoria Fyda 1i

Patriotycznie na 100 lat

Ostatnio w naszej szkole było bardzo głośno o setnej rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę. Odbyło się wiele akcji towarzyszących temu wydarzeniu. Jednak to, co przykuło moją uwagę, to Konkurs Piosenki i Pieśni Patriotycznej, który stał się już tradycją w naszej szkole. Nie wiedzieć czemu, jak na złość, w roku tak ważnej rocznicy wolności w konkursie wzięła udział najmniejsza liczba uczniów. I to pomimo nagłaśniania śpiewanej rywalizacji przez wszystkie media naszej szkoły.

W sam dzień konkursu, jako pierwszy wystąpił Mariusz Ochwat z klasy 4m, który zaśpiewał acapella utwór „1 Brygada”. Całkiem niezłe mu to wyszło, chętnie się go słuchało, lecz wydaje mi się, że mógł zaśpiewać ten utwór lepiej. Jednak to tylko moja opinia. Kolejnym uczestnikiem a w zasadzie uczestnikami byli Zuzanna Bednarek i Kacper Szczepanik z klasy 1c, którzy zagrali i zaśpiewali utwór „Rozkwitały pąki białych róż”. Ten utwór bardzo mi się podobał w ich wykonaniu. Zuzia przepięknie go zaśpiewała, a Kacper rewelacyjnie zagrał na klawiszach. Dodali nawet element teatralny, co naprawdę zrobiło wrażenie. Następną osobą, która dla nas zaśpiewała, była Zofia Kałużny z 1a, z pieśnią „Biały krzyż”. Naprawdę dobre wykonanie, tylko wydawało mi się, że trochę wykrzyczała tę piosenkę. Ale jedno jest pewne: dziewczyna ma naprawdę piękny i mocny głos, więc jeszcze nie raz o niej usłyszymy. Kolejna była Julia Prechitko z 1h, z piosenką „Miasto 44”, którą zaśpiewała bez podkładu. Przyznam się, że jest to moja ulubiona piosenka pa-

triotyczna, więc gdy Julka ją zaśpiewała, to się nie zawiodłam, pomimo tego, że troszeczkę nie trzymała się w tonacji. Na samym końcu wystąpił nasz szkolny zespół z piosenką „O mój rozmarny”. Utwór został zaśpiewany i zagrany naprawdę pięknie i profesjonalnie. Ten występ najbardziej mi się podobał ze wszystkich i nie dziwię się, że zajęli pierwsze miejsce. Resztę podium zajęli Zuzia Bednarek i Kacper Szczepanik i na trzecim miejscu znalazła się Zosia Kałużny.

Jeśli miałabym ocenić cały konkurs to odbył się on profesjonalnie i bez żadnych niedociągnięć. Uczestnicy zaprezentowali naprawdę wysoki poziom. Czy tego typu zmagania są potrzebne? Odpowiem, że bardzo! Jeśli w taki sposób można zachęcić młodzież do zgłębiania historii swojej Ojczyzny, to jestem na tak! Oby tylko w przyszłym roku młodzież dopisała, a sam Konkurs był prawdziwą bitwą na głosy w imię patriotycznej pamięci.

Aneta Poremba

Kącik cukiernika

Zdarza się Wam mieć gości, którzy zawsze zapowiadają się na ostatnią chwilę? Mi ostatnio bardzo często. Zawsze staram się przygotować coś smacznego i ciekawego, ale gdy czasu jest mało, a sklepy pozamykane już od kilku godzin staje się to bardzo kłopotliwe. Z pomocą przychodzi mi wtedy GALARETKA! Zwykła, owocowa galaretka, którą każdy z nas posiada w kuchennej szafce. Okazuje się, że umiejętnie przygotowana, może być nie tylko smacznym deserkiem,

ale również całkiem ciekawym elementem dekoracyjnym!
Składniki:
1 galaretka truskawkowa
450 ml wrzącej wody
1 szklanka pokrojonych w plasterki truskawek
1 1/3 szklanki śmietanki kremówki 30%

niewielka szczypta soli

2 łyżeczki cukru pudru

Wykonanie:

Galaretkę rozpuszczamy w wodzie (wrzącej) i odstawiamy do lekkiego całkowitego wystudzenia. 1/2

szklanki galaretki odstawiamy na później. Pozostałą galaretkę rozlewamy do pucharków, dodajemy do każdego 1/2 szklanki pokrojonych truskawek. Pucharki umieszczamy np. w silikonowej keksówce lub innym naczyniu i ustawiamy je pod koszem. Wkładamy do lodówki, aby całkowicie stężała. Połowę kremówki ubijamy na sztywną masę i łączymy delikatnie z płynną galaretką. Wlewamy do środka pucharków ze stężoną galaretką. Zostawiamy na pół godziny do ścięcia masy. Pozostałą kremówkę ubijamy z niewielką ilością soli na sztywno. Pod koniec dodajemy przesiany cukier puder. Ubitą śmietankę układamy do pucharków. Dekorujemy. xyz



Skład redakcji

Gazetkę redaguje i wydaje Uczniowskie Bractwo Ciętej Riposty z Mocno Ograniczoną Odpowiedzialnością w składzie:

Redaktor Naczelny: Aleksandra Turcka

Wielki Cenzor: mgr Władysław Żebrak

Nadzwyczajny Koordynator: mgr Anna Tobiasz

Redaktorzy:

Dorota Jawor, Dominika Sromek, Lidia Zaryczny, Zuzanna Tokarczyk, Dorota Wolak, Sara Kalisz, Martyna Sroka, Aneta Poremba i inni.